ROCZNIK X. LUTY 1906. Tom III. - Nr. 2.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

* Turyn - Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

Str.
Do naszych szanownych Dekuryonów, Zelatorów i Korespondentów 29
Do przezacnych Pomocników 30
Misyonarze wygnańcy 32
Z naszego skarbca *czyli odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy w miesiącu lutym* . . . 34
Misye salezyańskie: *z Ekwatoru* 35
Do młodzieży 41
Wiadomości potoczne: *Turyn, Rzym, Londyn, Ambato, Buenos Aires, Cordoba, Meksyk, Santiago, Wiedma* 42
Łaski Najśw. Maryi Panny Wsp. Wiernych . . . 45
Rozmaitości: *Któż winien?* 48
Żywot X. biskupa Alojzego Lasagni 50
Nekrolog 52

Do Naszych Szanownych Dekuryonów, Zelatorów i Korespondentów.

Przywodzimy ponownie na pamięć artykuł naszych ustaw, zapraszający na doroczną konferencyę czyli zebranie Pomocników, celem omówienia spraw związkowych. — Gdzieby się takowa odbyła, upraszamy nadesłać nam odnośną relacyę, abyśmy mogli zdać publicznie sprawę z obecnego stanu i postępu tego ruchu.

Po wszelkie objaśnienia i wskazówki w tym względzie można się udać wprost do obecnego ks. Prowincyała w Oświęcimiu.

Uwielbienie dla ks. Bosko i jego filantropijnych ideałów niech rozwiąże skrzydła naszego zapału: ratujmy młodzież, a w tym celu podtrzymujmy wedle sił naszych dzieła salezyańskie.

Do Przezacnych Pomocników.



Siła dobrego spodziewają się po Związku Pomocników Salezyańskich Kościół i społeczeństwo. Działalność jego, skierowana przedewszystkiem ku utrzymaniu na drodze cnót obywatelskich młodzieży, któraby bez opieki zeszła na manowce i stała się igraszką niespokojnych i wrogich wszelkiemu porządkowi żywiołów, takiego doczeka się uznania, że już widzę całe miasta i wioski spieszące w jego szeregi.

Tak się odzywał nieśmiertelnej pamięci Pius IX.

Przezacni Pomocnicy i czcigodne Pomocnice! Bóg dał nam znowu zimę, a z nią długie wieczory na miłe pogadanki w kółku rodzinnem i przyjaciół. Warto więc choć jeden z nich poświęcić sprawom, które nas, jako członków, żywo obchodzą.

Stowarzyszenie nasze, powstałe ze skromnych bardzo początków, liczy obecnie przeszło 300.000 członków we wszystkich cywilizowanych okolicach, wśród wszystkich stronnictw politycznych i warstw społecznych. Nad całą tą różnorodną masą czuwa i pracuje Królowa Związku, Marya Wspomożycielka: Ona utrzymuje jedność ducha i celu, błogosławi gorliwym, zagrzewa zobojętniałych, wszystkich zaś macierzyńską otacza opieką, przysparzając im szczęścia na ziemi i troszcząc się o ich przyszłe losy. Ta wyjątkowa pieczołowitość, w jakiej Współpracownicy nasi zostają u potężnej a litościwej Królowej Niebios, byłaby w stanie sama przez się nakłonić wielu do wstąpienia w nasze szeregi: lecz nie na niej koniec. Związek nasz może prócz tego stawić na przynętę dla swych adeptów skarby duchowne nader obfite i drogocenne. Trzej papieże z kolei wzbogacali go hojną ręką, a obecnie panujący cennym autografem te darowizny zatwierdził i na wieczne czasy ustalił.

Otwórzmy nasze ustawy: 40 dorocznych odpustów zupełnych, niezliczone cząstkowe, szerokie indulty i przywileje zostały udzielone Wiernym i kapłanom szczególnie w chwili ostatniej przedśmiertnej walki! Bez nakładu pieniędzy, czasu, trudów, podróży, zyskuje Pomocnik Salezyański te same odpusty, co zwiedzający stacye rzymskie lub inne miejsca odpustowe: wystarczy do tego, by poszedł do jakiego kościoła, jeżeli w miejscu niema żadnej kapliczki naszego Zgromadzenia, i tam pomodlił się na intencyę Ojca św. A gdy go złoży niemoc, ma zapewnione uczestnictwo nawet nie wstając z łoża.

Te zdroje łask, tak obfite i wiecznie bijące, stoją otworem dla każdego: Boska Szafarka nieustannie trzyma ręce zanurzone w skarbach, gotowa sypać je na swe dzieci, któreby wyciągnęły po nie rękę. — Lecz jakąż miarą, według jakiego prawa odbywa się ten podział? Śmiałkiem byłby, ktoby tego chciał dochodzić. Podskarbim tutaj sama Królowa związku, Marya Wspomożycielka; komu będzie chciała udzielić więcej a komu mniej, to już Jej tajemnica, w którą nam śmiertelnikom nie wchodzić. To jednak pewna, iż jako dobra matka nie wyrządzi krzywdy dziecku gorliwemu, aby wzbogacić opieszałe.

A czemże zasłużyć sobie na szczególniejsze u Niej względy?

Odpowiadają na to przytoczone powyżej słowa papieskie, jak również ustawy Stowarzyszenia.

Otwórzmy znów ustawy i przyjrzyjmy się obowiązkom, jakie one na nas nakładają. Są one wprost minimalne: katolik, chcący być wiernym naśladowcą Chrystusowym, gorący patryota, pracujący ze wszystkich sił w duchu katolickim dla swej ojczyzny, działa temsamem w myśl naszego programu. Celem związku jest podniesienie obyczajów w społeczeństwie: zaś ustawy nasze podają łatwy sposób wykonania tego radykalnego zadania każdego obywatela. Pomocnikiem może być rolnik, chwalący Boga za pługiem, równie jak rzemieślnik pracujący przy warsztacie, i mieć w tem taką samą zasługę, co biegły polityk lub milioner, gdyż celem związku jest, powtarzamy, podniesienie obyczajności w społeczeństwie przez własne uświęcenie i pracę nad uświęceniem drugich.

Pamiętać atoli należy, iż Stowarzyszenie to założone zostało przez księdza Bosko, że zapisujący się do niego wchodzą temsamem w moralne a blizkie pokrewieństwo ze Zgromadzeniem Salezyańskiem. — ,,Pomocnicy Salezyańscy powołani są do tej samej pracy, co Zgromadzenie św. Franciszka Salezego, z którem stoją w ścisłym związku" — brzmi odpowiedni artykuł naszych ustaw. A ponieważ ks. Bosko poświęcił swe życie wyłącznie dla młodzieży, i dla jej zbawienia fundował stowarzyszenie zakonników, zadanie to przechodzi i na Pomocników. Obowiązkiem tedy wszystkich nas jest staranie o dobre wychowanie młodzieży, lub o jej uobyczajenie, gdyby wpierw prowadzona była po manowcach.

Że to za dni naszych kwestya pierwszorzędnej wagi, nikomu nie tajno.

Płaczą rodzice nad niesfornemi i krnąbrnemi dziećmi, skarżą się nauczyciele, władze państwowe nie wiedzą już gdzie szukać przyczyny tylu przestępstw u małoletnich, którzy zapełniają więzienia; płacze również Kościół nad swem opustoszeniem.

Cieszy się natomiast karczma, cieszą się tajne towarzystwa, cieszy się socyalizm, toczący rdzeń dzisiejszych społeczeństw. Najbieglejsi statyści drżą o przyszłe koleje ludzkości. Otóż Waszem zadaniem, łaskawi Pomocnicy, jest, otoczyć latorośle narodów taką opieką, iżby one pośród tylu klęsk i niebezpiecznych przekonań, spłukujących z widowni świata najrozmaitsze dzielne osobistości i wstrząsających ustrojem państw, nie uległy prądom przewrotu, ale spokojnie dorastały dla przyszłych obowiązków życiowych; iżby takiej nabrały siły, wobec której bezsilnymi pozostałyby wpływy późniejsze; żeby matki spokojne były o swą siwiznę, religia o swe panowanie; a gdy one po nas wezmą w swe ręce ster, aby droga nawa ojczyzny nie rozbiła się o skały, o jakie nam co chwila potknąć się łatwo.

Lecz jakże pierwszy z brzegu Stowarzyszony odpowie temu wielkiemu a trudnemu posłannictwu? Jak jemu brać się do wychowywania młodzieży? Dziatwę, jaką jego Bóg obdarzył, wykieruje niezawodnie na ludzi poczciwych; ale o cudzych dzieciach nie może nawet i myśleć. — Trudność to dość poważna: lecz trudność nie pozwoli nigdy przeoczyć koniecznej potrzeby. Liczba dzieci potrzebujących całkowitej opieki,

jest za dni naszych bardzo wielka: zastęp tak zwanych „dzieci bożych" rośnie z dniem każdym na ulicach większych miast, zwłaszcza w okręgach przemysłowych, czyto przez sieroctwo, czy wskutek nędzy, czy niedbalstwa rodziców. O tych koniecznie trzeba pamiętać, jeżeli się nie chce, aby w niedalekiej przyszłości posłużyli za broń straszną w ręku rzekomych obrońców tak zwanej „klasy uciemiężonej pracą". Prócz tego dziś proletaryat przewyższa liczebnie wszystkie inne stany i na nim, wobec głoszonej wszędzie zasady równości praw obywatelskich, siłą rzeczy rząd oprzeć się musi; jeżeli zatem ten proletaryat wyrośnie bez Boga, ze wszystkiemi zboczeniami rozkiełznanej i nie przywykłej do hamulca natury, na jakiejże podstawie spocznie dobrobyt społeczny? — Przed zagadnieniem tak ważnem powinny w znacznej mierze pierzchnąć nagromadzone przez wyobraźnię widma nieśmiałości, braku wpływu i t. p., a głównie względu na mowy ludzkie.

(Dokończenie nastąpi).

UWAGA.

Zdarza się nierzadko, iż osoby pobierające Wiadomości Salezyańskie zmieniają miejsce zamieszkania, a zaniedbują lub zapominają nas o tem zawiadomić. Powstaje stąd niemały dla nas kłopot, ponieważ Wiadomości wysyłane pod zwykłym adresem, bywają nam następnie zwracane z suchym dopiskiem: „adresat wyjechał niewiadomo dokąd." Upraszamy przeto przeprowadzających się, by zechcieli nam w takich razach nadesłać w otwartej kopercie opaskę jednego z numerów naszego czasopisma, i wypisać na niej swój nowy adres. W ten sposób nie nastąpi żadne opóźnienie ani przerwa w dalszem regularnem doręczaniu im Wiadomości Salezyańskich.

Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy). *

ROZDZIAŁ IV.

Zamordowanie znakomitego literata Vivara.

Rewolucya rozgorzała na dobre. Widok krwi przelanej rozpasał do reszty zwierzęce instynkta motłochu ulicznego, który nie znał już zapory dla swej wściekłości. Z hasłem przewrotu na ustach rzucał się wśród bluźnierczych śpiewów na wszystko, co dotąd poważał, jakby dla odwetowania sobie za dotychczasową uległość. Własność prywatna stała się niebezpieczeństwem, o nietykalności zaś osoby nie wolno było nawet i myśleć. Sąd doraźny, złożony z kilku fanatyków z pod ciemnej gwiazdy, ścigał spokojnych obywateli. Z pomiędzy licznych ofiar najwięcej opłakania godną był znakomity literat Vivar.

Kilkakrotnie wyprawiono mu pod oknami mieszkania kocią muzykę, przyczem raz o mało nie przyprawił go o życie kamień, rzucony z ulicy: nie ważono się atoli podnieść na jego osobę ręki. Aż tu pewnego poranku, gdy rodzina spożywała śniadanie, znów nadciągnęła parusetna hałastra. Pomimo że należało to do rzeczy zwykłych za owych dni, widok tych ludzi i ich okrzyki mocno zaniepokoiły panią Vivar. Wstała zatem od stołu i zabierała się do odejścia. Chciał ją uspokajać małżonek, gdy wtem huk kilku wystrzałów wstrząsnął ścianami domu. Przerażona kobieta padła zemdlała na ręce męża: ten odniósł ją do przyległego pokoju, złożył na sofie i polecił nadbiegłej za ten czas służącej, a sam wybiegł zobaczyć co się stało. Na schodach przywitał go złowrogi okrzyk: zalany krwią własną leżał na progu wierny sługa, a przez jego ciało przechodzili rewolucyoniści, wołając go po imieniu. Wskoczył przeto napowrót do izby, zamknął drzwi, pochwycił za rewolwer i stanął gotów roztrzaskać czaszkę

(*) Zob. Wiad. Sal. nr. 12 z. r. str. 316.

temu, ktoby się pierwszy był pokazał; trząsł się przytem jak w febrze, przytomność atoli go nie opuściła. Zrozumiał zaraz, iż bronić się wobec takiej liczby niepodobna. Zmienił więc prędko postawę: odłożył broń, a sparłszy się ręką o stół, czekał co się stanie. Nie ubiegło pięciu sekund, gdy pod silnem uderzeniem obucha pękły drzwi; silne ramiona dokonały reszty: wnet zgraja wśród krzyku i klątw wpadła do mieszkania i zaraz biorą się do jego osoby. Chciał coś mówić, bronił się, ale wszystko bezskutecznie; dwu brutalów wzięło go pod ramiona i wyprowadzili na ulicę, podczas gdy reszta dobijała się do przyległego pokoju, a potem rozbiegła się po całym domu.

Na ulicy napotkali już tłumy obojga płci, a bodaj czy kobiet nie było więcej. Zmieszał się z niemi konwój, a pchany przez tę falę, która gwarząc, krzycząc, wyjąc ochrypłymi głosy jakieś pogańskie piosnki, kierowała się ku rynkowi, stanął wreszcie na fatalnym placu. Na miejscu kaźni, z boku od kolumny na nim wzniesionej, stał wbity w ziemię słup, dokoła zaś czerniało morze głów zebranej gawiedzi. Chaos i rwetes panował tu niesłychany. Skoro ukazał się orszak, zbiegowisko przybrało miny groźne; kilkakrotny okrzyk śmierci, przerywany głośnem świstaniem, przeleciał od brzegu do brzegu. Stanęli: zawarczały bębny i głośne rozchowory przeszły w groźny pomruk, któremu wnet i najbardziej oddaleni zawtórowali. Na improwizowaną z pleców towarzyszy mównicę wdrapał się jakiś obdarty gołowąsy krzykacz, wśród grubijańskich obelg zaniósł do trybunału ludowego skargę o zdradę stanu przeciw obecnemu tam obywatelowi Vivarowi, i ogłosił zaraz zapadły nań wyrok śmierci. Znowu wszczęły się okrzyki, rozmowy, sprzeczki, i ponowny warkot bębnów, zwiastujących egzekucyę, przywrócił ciszę. Kilku zbuntowanych przeciw prawowitej władzy szeregowców podnosiło już rury muszkietów, gdy biedna ofiara, poznawszy swe rozpaczliwe położenie, poprosiła prowodyrów o głos. Oczy jego, spokojne już choć nie pozbawione pewnego wyrazu cichej melancholii, poczęły błądzić po kołyszących się głowach tłumu, szukając zapewne w jakiej twarzy nie politowania, ale sprawiedliwości. Nie znalazł jej widocznie, gdyż wnet spuścił oczy i po chwili stanowczy głos jego zabrzmiał w ponurej i mrocznej ciszy:

„Obywatele, jam katolik: pozwólcie mi choć



Dziewiczy las w Ekwatorze.

wyspowiadać się, nim życie dam za spokój mej ojczyzny."

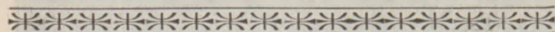
To do reszty rozwścieczyło tłum, który innych słów spodziewał się po Vivarze. — Precz, śmierć zacofańcowi! — brzmiało zewsząd — poco mu księdza? my go wyspowiadamy. — I rzucono się na niego, wydarto go żołnierzom, włóczono, bito, podrzucano, następnie całkiem już pokrwawionego podtrzymało kilku w górze, gdy inni wzięli się z kannibalsko zimną krwią do obcinania mu scyzorykami palców prawej ręki. Wszystko to działo się wśród głośnych

okrzyków śmierci i hałasu na cześć rewolucyi. Nareszcie udało się żołnierzom odbić rannego; przynieśli go więc do słupa, przywiązali, i do bezkształtnej już masy ciała dali salwę.

Gdzież powody do tak strasznej zawziętości u tego ludu? Łatwo je odgadnąć: są tesame, które kilka lat przedtem pochłonęły prezydenta Garcia Moreno: Vivar był wzorowym katolikiem, a prócz tego jako gorący patryota stał na stanowisku wrogiem wszelkim buntom i rozlewom krwi obywatelskiej, dla czyichśtam widoków prywatnej dumy. A że ogniste artykuły, w których przestrzegał rodaków przed zgubnymi skutkami waśni narodowych, więcej skutkowały niż kule muszkietów, i udaremniały w znacznej części zamachy wichrzycieli, stąd zapadł nań w obozie republikańskim wyrok śmierci.

Bohaterska dusza katolicka, owiana aureolą męczeństwa, uleciała do nieba, a ze sobą uniosła nieśmiertelną koronę sławy, jakąby genialny pisarz był złożył na skroni swej nieszczęśliwej ojczyzny; lecz równocześnie anioł zemsty napisał na czole rewolucyi: *Mane, tekel, fares.*

(Ciąg da'szy nastąpi).



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy Salezyańscy w miesiącu lutym.



Pomocnicy Salezyańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną, i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w bieżącym miesiącu następujące odpusty:

A — *Zupełne.*

1. W dzień, w którym się wpiszą do Związku.

2. Raz na miesiąc, w dniu przez każdego dowolnie obranym.

3. W owym dniu, w którym wezmą udział w konferencyi.

4. Dnia 22, Katedry św. Piotra w Antyochii.

5. Na ten punkt przywołujemy szczególniejszą uwagę naszych Pomocników: *Ilekroć* odmówią pięć Ojcze Nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu za pomyślność chrześcijaństwa, i Ojcze Nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu na intencyę Ojca św., dostępują wszystkich odpustów Stacyi w Rzymie, Porcyunkuli, w Jerozolimie i św. Jakóba w Komposteli. Wystarcza do tego, by byli w stanie łaski.

B — *Cząstkowe:*

1. W trzy niedziele przed Wielkim Postem, — Starozapustną, Mięsopustną i Zapustną: *Odpust 30. lat i tyluż kwadragen.*

2. W środę popielcową: *Odpust 15. lat i tyluż kwadragen.*

3. We wszystkie dni Wielkiego Postu, tak powszednie jak świąteczne: *Odpust 10. lat i tyluż kwadragen:* prócz tego w każdy piątek tegoż Postu, odmawiając 5 Ojcze Nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu na pamiątkę Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

4. *Odpust 7. lat i tyluż kwadragen: a)* ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najsł. Sercu Jezusowemu; *b)* ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.

Na uzyskanie tych odpustów potrzeba, prócz zwykłych wymagań, być wpisanym do Związku Pomocników i odmawiać codziennie na intencyę Ojca św. Ojcze Nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu, i wezwanie: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

Wszystkie wymienione odpusty można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.



MISYE SALEZYAŃSKIE

Z EKWATORU.

Pomiędzy Kiwarosami.

ICH ZWYCZAJE, RELIGIA, POLITYKA.

Testament Kiwarosa.

Wykonanie zemsty za krzywdy słusznie czy niesłusznie wyrządzone, przekazuje umierający Kiwaros swemu synowi, tak samo jak Europejczyk swe długi i majątki. Ząb za ząb brzmi u nich błogim i pełnym ludzkości wdziękiem, jak u nas szlachetne przebaczenie. Ostatnia wola umierającego rodzica jest świętą, a ta wola prawie wyłącznie polega na spłaceniu cieniom zmarłego długu, jaki przed dziesiątkami nieraz lat zaciągnął przed nim ten lub ów jego wróg osobisty.

Oto jak jedną z takich scen opisuje nasz misyonarz X. Tallacchini.

. . . Przy pierwszych brzaskach Kiwarosowie już byli na nogach i zgromadzili się ponownie w domu starego Sandu. Leżał on w swej dzikiej chacie na miękkiej pościeli, a tuż za nim wyrabiały kobiety ranny napitek w sposób całkiem idealny, jak to poniżej opiszę. Gdy już w znacznej liczbie byli zebrani, powiódł stary wzrokiem po nich: umilkły gwary, a on, podniósłszy się na swej peaka, tak się odezwał: „Słuchajcie i dobrze rozważcie dzieci moje, wnuczęta i krewniacy: ojciec wasz i wódz przemawia, słuchajcie co powiem. Na każdy dzień, pierw nim poić was będą promienie wielkiego oka, zaczerpnijcie światła dla życia waszego z słów ust moich. Taka powinność każdego, którą ja głosić będę póki mi tchu w piersiach i głosu w gardzieli; a gdy moje usta zamrą, usta mego pierworodnego przekażą synom i wnukom głos starego rodzica; ci oznajmią to prawnukom, i tak aż do ostatniego pokolenia. Wasi ojcowie tak mówili, tak zawsze robili, i tak będzie się działo zawsze. Co daj Bóg.

Na to zebrani chórem: — Máagketa — daj to Bóg.

A Sandu dalej:

Pierw nim ja byłem, byli już Siuora (Kiwarosowie); wyszli oni z matki jeziora (1).

— Nikacan — prawda.

— Mój dziadek jeszcze nie był, a Siuora byli.

— Hi! Hi! — tak jest, tak jest!

— Nie byli jeszcze ojcowie dziatków naszych dziadków, a Kiwarosowie panowali nad górą, doliną, puszczą, stepem: nasze było wszystko.

— Maagketa — prawda.

Kiwarosowie z drugiego brzegu byli nam blizcy i przyjaźni.

— Maagketa-maagketa.

— Przed nimi nigdy nie ugięliśmy czoła.

— Tsa, tsa! — nie nigdy.

— Przyszli hardzi synowie gór od strony kędy rodzi się Wielka rzeka (2).

Chcieli nam nogą na kark nastąpić: a myśmy się umocnili w naszych lasach.

— Hi, hi, — tií, tií — tak jest, tak jest, — dalej, dalej.

— Przyszli z niezmierzonych wód Apaci (3), o twarzach bladych jak *Yuca*, a nienasyceni jak niedźwiedzie.

— I cóż!

— Pobudowali kamienne Wigwamy z wieżami i ogrodami nad brzegami wód Paute, Morona i Upano. Potem chcieli od nas służby.

---

(1) Szczep Kara czyli Siri przybył do Ameryki prawdopodobnie z Oceanu Spokojnego, około roku 1000. po Chr.

(2) Inkasi, zamieszkujący Perù. — W XV-tym wieku podbili zajętą dziś przez ucywilizowanych część rzpltej ekwatorskiej.

(3) Jest to skrócona forma wyrazu *aparuci*, które znów jest formą zdrobniałą wyrazu *apare*-ojciec. — Nazywają tak misyonarza, a czasem wszystkich białych.

Siuora zburzyli ich domy, pomordowali Apaci, wielu, bardzo wielu, że ich na palcach rąk i nóg wszystkich Kiwarosów razem nie policzysz. Żony ich i córki, te nawet, które do Yusa należały (1), dostały się nam. Mendoza, Logrogna, Sewilia Złota zniknęły pod naszem żelazem. Dziś nie ujrzysz na onych miejscach jak las bezbrzeżny, gdzie Siuora zwycięską stopą depcą prochy białych.

— Prawda.

— I znowu nam wolno sadzić yukę i banany gdzie nam się podoba.

— Dzięki Bogu!

— Od owego czasu zrodziła *cionta* po dziesięćkroć dziesięć razy po trzy razy (2). Wielokrotnie i potem podnosili się na nas Apaci, ale ich zawsze waleczni Siuora rzucili o ziemię.

Tu stary zamilkł dla nabrania tchu: oczy przymknął, zwiesił głowę na piersi, i trwał tak przez chwilę. Następnie podniósł swą sędziwą twarz, z wielką powagą spojrzał po obecnych, i rzekł uroczystym głosem:

— Ja miałem wielu nieprzyjaciół.

— Kuciat — wielu!

— Wszystkich pokonałem.

— Pokonałeś.

— Jeden tylko zmarł, nim mogłem nad nim się zemścić. Czeka to jego syna.

— Czeka go.

— Nad innymi jeszcze wisi miecz mojej zemsty (tu wymienił kilka imion). Jeden shańbił mnie ośm lat temu; drugi, to ów przeklęty *bruko* (czarownik), który przyprawił o życie mego ojca. On musi umrzeć.

— Umrze!

— Trzeci porwał wam siostrzyczkę, kiedy jeszcze maleńką mama w wigwamie chowała.

— On ją porwał.

— Jeżeli on nie umrze, umrze wasz ojciec.

— On musi umrzeć.

Następuje druga przerwa, w czasie której niewiasty roznoszą, zacząwszy od wodza, ciepły napój sporządzony z ziół odurzających, u nich zwanych *guayuza*.

Napił się stary lew i odstawił naczynie; następnie kończył:

Ja zrodziłem i wychowałem synów po to, aby miał kto mych krzywd na nieprzyjacielu dochodzić. Błogosławiony syn, który mści się zniewag ojca swego. Dom jego obfitować będzie w jukę, cionte i rozkoszne banany. Zbiorów jego ani słońce nie spali, ani deszcz nie zaleje; potokami płynąć mu będzie cicia; rozmnoży się jego trzoda chlewna; psy znosić mu będą pokonane niedźwiedzie, małpy i wszelkiego rodzaju zwierza leśnego; nigdy napróżno nie zarzuci sieci lub więcierza; straszny będzie wrogom jego oszczep, a zatrute bełty jego cięciwy nigdy piersi wroga nie chybią. Postrach i zwycięstwo osiędą na jego ramieniu, a nawet czarne mocy puszczy stronić od jego wigwamu będą i nie odważą się zabijać płaczących niemowląt. Ród jego rozpleni się w liczne pokolenia, waleczne i sławne jak ich ojciec. A gdyby go nawet iguanci lub jaki bruko wtrącił do grobu, dalej żyć będzie pokarmem, jaki mu przy boku w trumnę włożą, i bronić się dzidą, którą mu do rąk dadzą.

Na to wszyscy chórem: — Daj Bóg!

A Sandú:

— Przeklęty wyrodny syn, który nie mści się za ojca swego i pozwala, aby prochy jego rodzica stąpiły pokrzywdzone i zelżone do błota grobowego. Oby żaden syn nie urodził mu się na pomstę wrogom; oby ci pokonawszy go, rzucili jego trupa bez pokarmu i oszczepu na bezludny step, gdzieby go dzikie bestye pożarły, a wicher prochy jego rozniósł w kraje zapomnienia, pod nieczyste stopy jego wrogów. Głowa jego niech święci tryumf nad przeciwnikiem, a z czaszki jego niech popija cicię na cześć Iguanci.

Słuchacze: Tak niech się stanie.

Mowy polityczne u Kiwarosów.

Pewnego dnia zapuścili się misyonarze nasi, a między nimi także ks. biskup Costamagna, znacznie w głąb wilgotnych lasów, rozciągających się olbrzymim szlakiem na wschód od Gualaquizy. Głucho było dokoła w puszczy, tylko czasem załopotało nad liściastem sklepieniem skrzydło ptaka lub pierzchnął przez

---

(1) Dziewice Bogu poświęcone.

(2) *Cionta* jest palmą o skórze czarnej i twardej, wydająca owoce corocznie. Stąd powyższe wyrażenie znaczy: Upłynęło lat 300. (10×10×3.)

gąszcz spłoszony odgłosem kroków zwierz. Naraz atoli zaczęło się po lesie coraz wyraźniej rozlegać echo głosów ludzkich. Wyrazom krótkim, jakoby w kłótni wymawianym, odpowiadały co chwila głośne okrzyki kilkunastu potężnych gardzieli. Misyonarze poszli w kierunku skąd dochodziły owe głosy; wnet uczyniło się widniej dokoła, i po kilku krokach ujrzeli białe światło dzienne. Zbita, poplątana czarna puszcza ustępowała miejsca nie szerszej od potężnego gmachu polanie. Błękitny szmat nieba pokrywał majestatycznie tę przestrzeń, nadając jej uroczość i ponurość starej świątyni Jowisza, pełnej grozy i tajemnic. W środku polany, porosłej obficie zielenią i barwnem kwieciem, stał olbrzymi dąb, pod którego sędziwą koroną stało półkolem sporo dziczy o wzroście atletów, spartych lekko na długich dzidach. Spokojni, milczący, zupełnie jak bronzowe posągi, wziąłbyś ich na pierwsze wejrzenie za olbrzymów wyrosłych ze smoczych zębów Jazona. Tylko włócznie, wznoszone raz po raz w górę błyskawicznym ruchem, mówiły ci, iż masz przed sobą wojowników żywych, strasznych, a z głosu mówiącego, który tak przykuwał uwagę słuchających, że nas nawet nie dostrzegli, poznać było można, iż coś bardzo ważnego było na porządku dziennym.

Widok tych mężów zebranych w jedno miejsce, za którymi od tak dawna chodziliśmy po błotach i gąszczach, uradował niezmiernie ks. biskupa, gdyż natychmiast uśmiechnęła mu się myśl łatwego i obfitego połowu. Wysunął się tedy tak, aby go zebrani mogli spostrzedz, i zawołał głosem jak jemu się zdawało najpotężniejszym i największym: „Maakke! Maagke Siuoraoi! — Brawo! Pokój Kiwarosom!"

Lecz o dziwo — nikt z wojowników o cal nie zmienił pozycyi, nikt się nawet na nas nie obejrzał: czyby nie słyszeli? niepodobna było nie słyszeć. Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak usunąć się i poczekać, ażby nam ceremoniał Kiwarosów pozwolił na posłuchanie. Uczynił to niezwłocznie ks. biskup, aby swej osoby nie narażać, my zaś zaczekaliśmy, bo nas okrutnie ciekawość paliła, jak też ci dzicy poradzą sobie z tak trudną kwestyą jak polityka, nad którą suszą sobie nieraz napróżno mózgi najtęższe głowy europejskie.

Burzliwy sejm czy meetyng trwał jeszcze z kwadrans, poczem mowcy zziajani, spoceni, z piersią falującą, sapiąc jak miechy kowalskie, usiedli na murawie, rozprawiając głośno jeden przez drugiego.

Równocześnie podniosła się jakaś nędzna postać kobieca, która dotąd w kuczki pochylona nad swemi malowanemi farfurkami, przy-



Misyonarz salezyański w gronie młodych Kiwarosów.

rządzała w opisany sposób boski napój. Podała go pierwszym z rzędu: szła potężna bania z rąk do rąk, każdy maczał w niej swe ogromne wąsy i pił póki tchu w piersiach, poczem ustępował z komplementem sąsiadowy. Przyszła potem kolej i na nas, czego nam nie wolno było odmówić. Napiliśmy się wszyscy prócz Jego Ekscellencyi, który widząc na co się zanosiło, pozostał w gąszczu. Była to chwilowa przerwa, po której mowcy i słuchacze pozajmowali swe dawne miejsca, i tok rozpraw podjęto z nowym ogniem. To lewica, to prawica zapalała się, wyła, wywijała lancami, kilku zaś dzikusów podleciało naraz pod dąb, i nuż

*

krzyczeć — aby się wzajemnie przegłuszyć. Jedną rękę mają przytkniętą do ust, wedle przepisu ich ceremoniału, gdyż za każdem słowem niesforna ślina uchodzi im z impetem przez zęby na niefortunnego słuchacza, któryby się zbyt blizko do mówiącego przysunął, a w drugiej lanca nieuchwytnymi prawie ruchami to wylatuje w górę, to z przodu błyśnie, to znów z boku grozi. Nogi wierzgają, ciała przeginają się wtył, głowy podrzucane jak u dzikich koni: pod olbrzymiem sklepieniem puszczy huczą jak grzmoty letniej burzy urywane okrzyki wojny, zemsty, krwi, tryumfu, krzyżują się pytania krótkie a straszne, a ulewa ślin bucha z każdych ust.

Z tego wrzasku i rwetesu dochodzą niekiedy wyraźniejsze głosy:

— Shańbili nas!—Psy ich uczyły gościnności.

— Oni do jednego wycięli pierwszą wyprawę.

— Krwi, zemsty!—Przysięgliśmy ją tam *w świątyni snów.*

— Ja tam moją shanzę zatknąłem na ołtarzu: nie spocznę, aż jedna głowa nieprzyjaciela nie spadnie.

— U mnie dwie skalpy wiszą: dwu muszę wysłać do Iguanci.

— Ja mu ślubowałem pięć głów.

— Śmierć Kiwarosom z Pongo.

— Rozniesiem ich na naszych oszczepach.

— Porzniętych rzucimy na żer tygrysom!

— Z ich głów porobimy czaszki dla naszych żon.

— Brawo! — Śmierć im!

— Śmierć, śmierć! — Zemsty, krwi!

Wobec tak wspaniałego dramatu natury bledną i nikną wszelkie nasze efekty sceniczne; mimowoli też nasuwa ci się pytanie, czy mogli mieć więcej majestatu poważni członkowie areopagu, lub Demostenes i Cyceron, kierujący losami świata z mownic Aten i Rzymu. — I nie powinnaby dziwić odpowiedź przecząca, skoro tamtych nie wykształcili w sztuce oratorskiej mistrzowie tak potężnie, jak tych synów dziewiczej puszczy. Żyją oni bezustannie pod czarującym wpływem tej natury dzikiej i potężnej, tych niezbadanych okropności leśnych, tych groźnych skał, sterczących w świetle księżyca ku niebu jak złowieszcze duchy pomsty i zniszczenia. Nieustanny ryk zwierza, szum fal zwalających się w bezdenne jary, niszcząca moc huraganów, to potęga, której żadna istota rozumna oprzeć się nie zdoła. Giest i akcent Kiwarosa, choć nacechowane dzikością otoczenia, ma jednak w sobie całą dziewiczą piękność i czar. Taki Mirabeau lub Lacordaire niejednegoby się tutaj byli nauczyli.

Gdyby przed doborowem publicum pojawił się niespodzianie lew, o ileż potężniej brzmiałyby jego słowa od mów najcelniejszych retorów, jakich kiedykolwiek ludzkość wydała. Z jakim majestatem podniósłby swe królewskie czoło, okolone płową grzywą! Oczy jego ciskałyby błyskawice, a głos potężniej od grzmotu wstrząsłby najdelikatniejsze nerwy duszy. — Podobny obraz przedstawia się tutaj. Mówiący Kiwaros to istny lew: prócz niekrępowanego żadnemi prawidłami instynktu, ma muszkuły Herkulesa, formy atletyczne Hektora, głos stentorowy.

Pojęcia religijne Kiwarosów.

Nie mogę pojąć, jak ten i ów podróżnik mógł zarzucić Kiwarosom ateizm. Wiara w życie pozagrobowe i zabobonny kult dla umarłych jest tu przecie cechą tak wybitną, i tak na każdym kroku podpada, iż koniecznie musisz uznać w tem objaw jakichś pojęć religijnych. Napróżno jednak szukałbyś dogmatów ujętych systematyczną całość, lub filozoficznych pewników, z całym szeregiem przesłanek i wniosków: ale nie to przecie stanowi pierwotną religię ludów.

Każdy Kiwaros uznaje nad sobą jakąś istotę, od której wszystko dobre mu przychodzi, i tę nazywa Jusa. Drugi pierwiastek zła i nieszczęść nosi nazwę Iguanci. Ponieważ w szczęściu człowiek nie czuje takiej potrzeby odnoszenia się do bóstwa, przeto Jusa całe wieki żyje w zapomnieniu: nikt go nie uczci modlitwą ani ofiarą. Dało to powód do wątpliwości, czy wogóle pojęcie religijne jest wrodzone Kiwarosom, skoro sam wyraz zdaje się przybłędny, bo z hiszpańskiego zapożyczony — i rzeczywiście blizko z *Diós* do dius — diúss — diussa — jussa. — Bądź co bądź nie jest to jedyne świadectwo przemawiające za ich

religijnością. I tak w mowie ich na oznaczenie duszy służy osobny wyraz *wakâne*, czego nie mają inne szczepy, posługujące się do tego różnemi przenośniami, jak wiatr, serce, szpik i t. p.

Prócz tego jest u nich bardzo popularny kult wyższej istoty *Iguanci*. Strach przed nią nie opuszcza Kiwarosa ani na chwilę. Nie poczuwają się wprawdzie do obowiązku palenia mu ofiar, udają się atoli do niego bardzo często zwłaszcza w momentach krytycznych, gdy drżąc o własną skórę, chcieliby przedrzeć zasłonę przyszłości lub zasięgnąć jego rady przed ryzykowną wyprawą.

Regularnie przemawia do nich przez sen. Tu i ówdzie po lasach stoją samotne nizkie budy, kryte liśćmi bananu, przyczepione do czterech lub pięciu pali utkwionych w ziemi a związanych u góry. Nie są to mieszkania ludzkie, ale prawdziwe świątynie dyabelskie. Kiwarosowie zowią je *Jamtej*, czyli świątyniami snów. Indyanin chcący poznać wolę boga, wypija sporo *natemy*, potężnego narkotyku, kładzie się w jamtej i marzy. Aby go zaś w tym czasie nie przyszedł odwiedzić tygrys lub inny dziki zwierz, zapala dokoła szopy stosy twardego drzewa, zwanego *kadzurum numi*, którego głownie utrzymują ogień przez kilka dni.

Z tego wynika dość jasno, iż Kiwarosowie nie są ateuszami, ale owszem, że żyją pod jarzmem wcale nie lekkiego zabobonu i bałwochwalstwa.

* * *

Dla tem dokładniejszego skreślenia typu indyanina Kiwarosa podamy tu dwa jeszcze rysy, oświetlające ich stronę umysłową.

Było to w czasie misyi. O. Kiwaro zeszedł był właśnie z kazalnicy, gdzie przez dobrą godzinę jak najjaśniej i prawie namacalnie wykładał pierwsze zasady wiary. Indyanie wysłuchali nie przerywając mówcy; skoro atoli skończył, zaczęli oni po swojemu nad wszystkiem się zastanawiać i nad tem dysputować. Najdziwaczniejsze komentarze, oraz przekręcania rzeczy nie dobrze zrozumianych, słuchane i opowiadane były z wielką powagą i godnością. Misyonarze tymczasem wystawili przed kapliczką prowizoryczny ołtarz, i zapraszali Indyan na mszę św. Nikt się atoli nie ruszył i narada trwała dalej. Dopiero głos dzwonka podniecił ich ciekawość. — Zaczęła się defilada przed ołtarzem. Wszystkiego chcieli się dotknąć, wszystko widzieć; potem wstrząsając gwałtownie ramionami, drapiąc się i trąc o ściany i drzwi (palił ich bowiem niemiłosiernie świerzb), powracali na dawne miejsca z nowym zapasem argumentów.

— Aparu Obispo (ojciec biskup) przywdział długie białe *taraci* (tunikę).

— Tak! a potem nałożył sobie drugie podobne do liścia banana, gdy perlista rosa lśni na nim w słońcu porannem, a motylki białe, czerwone, zielone, złote, wzruszają nad nim skrzydełkami.

— Dałbym nie wiem co, gdyby mi podarował owo *taraci* dla mojej żony.

— Jabym je obwinął w liście i przywdziewał jedynie jako *itipi*, gdy mię bracia przyjdą odwiedzić.

— Widziałeś jak apaci (O. Kiwaro) skrzywił się mocno i bił się po piersiach! Znak to niechybny, iż go boli brzuch: powinienby się napić guajuzy.

— Potem znów się pochylił i dmuchał na okrągłą bieluśką *jukę*, a potem jeszcze raz na skorupę błyszczącą bardziej niż brzuch *kukui* (1). Była w niej jakaś czerwona cicia.

— I zjadł jukę, i wypił cicię czerwoną.

— Eh, wiesz, to nie mogła być juka; widziałem przecie, jak apaci złożył taraci i długą koszulę, padł na kolana i zasnął. Musiał się upić *natemą*.

Chrzest Indyanina.

Uroczystość Wniebowzięcia r. 1902go, tak zwana po kiwarosku *Jusa nukua*, miała zakończyć misyę. Wyglądaliśmy z wielkiem upragnieniem dnia tego, gdyż obfite owoce nam się uśmiechały. Kilkunastu rodzinom miały zostać otwarte bramy niebieskie, • innych zaś widzieliśmy umocnionych na duchu, tak iż bez obawy mogliśmy im powierzyć neofitów na czas niebytności misyonarza. Po jednej

(1) *Kukuja* — robaczek świętojański, wielkości bobu.

stronie ołtarza klęczeli mężczyźni, po drugiej niewiasty, śledząc z zajęciem każdy ruch kapłanów. W oczach wszystkich ubrał się ksiądz biskup w swe lśniące szaty pontyfikalne, na których widok o mało że Indyanie nie oniemieli z podziwu: każdy zaś z neofitów byłby głowę dał zato, iż one przeznaczone dla niego i jego żony.

Przede mszą miała się odbyć owa uroczysta



Kiwarosowie w stroju świątecznym.

ceremonia. W pierwszym rzędzie stanął *Cinguni*, syn naczelnika szczepu. Z podniesionem dumnie czołem, z marsem na twarzy, odpowiadał hardo na rytualne pytania, jakie mu stawiał najprzód po łacinie a potem w jego ciętym języku O. Kiwaro.

— Jak się nazywasz?

— To mię nie znasz? Jestem Cinguni, syn Sandu.

— Odtąd będziesz się nazywał Józef, Marya, Joachim.

— Czego żądasz?

— Wiesz przecie, że chcę zostać chrześcijaninem.

— Gdy mu potem wedle ceremoniału kapłan tchnął na twarz, Cinguni oburzył się i zapytał: „Cóż to znowu?"

— Wyganiam z ciebie Iguanci ze wszystkiemi jego chorobami.

— To wyganiaj. Żeby przepadł na wieki!

Na pytanie czy nienawidzi Iguanci, biedak był w ambarasie. Kazano kochać nieprzyjaciół: czyżby i Iguanci miał kochać jeszcze? Spojrzał na O. Kiwaro, a wyczytawszy na jego twarzy odpowiedź, podniósł prawicę, uderzył nogą w ziemię i zawołał:

— Wyrzekam się go na zawsze.

— Przyrzeknij, iż nie będziesz więcej pijał *natemy*, ani nie będziesz chodził śnić do jamtej.

— Nie będę pił, nie pójdę do jamtej.

Po dwakroć jeszcze zadano mu pytanie jak się nazywa: Zniecierpliwiło go to do reszty, więc odrzekł sucho i nieco gniewnie:

— Ile ci to jeszcze razy mam powtórzyć? Nazywam się Cinguni, Józef, Marya...

Ale nie zapominaj o tem więcej.

Zaprowadzono go do chrzcielnicy, a gdy uczuł ożywczą wodę na swej kudłatej głowie, zawołał rozpromieniony: Jużem chrześcijaninem?

— Tak jest, jesteś bratem Chrystusa.

— I niemasz już złego na mej duszy?

— Ani odrobinki — jesteś całkiem czysty jak ta suknia, którą cię przyodzieję. — Widząc, że go ubieram w białą tunikę, zawołał uradowany:

— Maagketa, maagketa! To moja szczęśliwa godzina! Ten ubiór mi podarujesz, nieprawda?

Tak, ale nie będziesz go nosił codziennie. Oby tak nieskalaną zachowała się zawsze dusza twoja!

Potem przedstawiłem neofitę zebranym, którzy przyjęli go z widocznem zadowoleniem na twarzy, zazdroszcząc mu zapewne w duszy bogatego daru.

(Dokończenie nastąpi).

DO MŁODZIEŻY.

Na zgubę oślep bieży w głębinie,
nową zwabiony ponętą.

Mick.

Utalentowany belletrysta, następnie członek Akademii francuskiej, Paweł Bourget, wychowany w szkole pozytywizmu, był zrazu bezwzględnym zwolennikiem i propagatorem literackim zasad tej doktryny. Nic go nie obchodziły jej zabójcze skutki w życiu, wielbił otwarcie dekadentów, nihilistów itp. Lecz oto ku wielkiej niespodziance dla ogółu, po kilku utworach skreślonych w duchu materyalistycznym, wyszło nagle z pod jego pióra dzieło, potępiające energicznie materyalizm i jego następstwa praktyczne. Dziełu temu dał napis: „Uczeń". Bohater jego, Adryan Sixte, zdecydowany ateusz i materyalista, był zwolennikiem zasady: *pereat mundus, fiat lux* — przyczem przez *lux* rozumiał jedynie bezbożność, oraz filozofię materyi i siły. W tym duchu pisał liczne książki i traktaty, które schlebiając najniższym i najgorszym instynktom ludzkim, były chciwie czytane przez ogół, a zwłaszcza przez młode pokolenie. Cieszył się mocno z swego powodzenia autor, uważając to za tryumf prawdy, i nie przypuszczał, a może nie chciał przypuszczać, żeby z jego bezbożnych teoryi chciał ktoś wyprowadzać wnioski i zastosowania praktyczne. Zresztą gdyby i tak było, cóż go to mogło obchodzić, jego, któremu niby chodziło jedynie o ścisłość naukową?

Lecz oto jeden z jego uczniów i wielbicieli, Robert Greslou, czyniąc eksperymenta życiowe według wskazówek mistrza, zaczął się staczać w kałużę występku i hańby, a w końcu został zbrodniarzem. Dowiedziawszy się o tem Sixte, udawał zrazu, iż nie rozumie, co mogło być powodem takiej zmiany w życiu uczciwego dawniej młodzieńca. Wreszcie, nie mogąc zagłuszyć strasznych wyrzutów sumienia, pada na kolana przed trupem ofiary swych doktryn, i jak wierzący chrześcijanin szepce te słowa: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie..." Na więcej zdobyć się nie umiał, więcej nie pamiętał..... Bourget dodaje od siebie: „A gdyby ten Ojciec Niebieski nie istniał, czyżbyśmy go wzywali tak gorąco w chwilach krytycznych?

Autor „Ucznia" idzie jeszcze dalej i w przedmowie, zwracając się do młodzieży, a raczej do „pewnego młodego człowieka", pisze co następuje: „Tobie to młodzieńcze, poświęcam tę książkę, tobie, którego znam tak dobrze, lubo nic nie wiem o twem mieście rodzinnem, o twem nazwisku i majątku, o twych rodzicach i ambicyach. Nie wiem nic okrom tego, że liczysz więcej nad ośmnaście, a mniej niż dwadzieścia pięć lat, i że szukasz w naszych dziełach, żądasz od nas starszych odpowiedzi na pytania, które cię niepokoją. A od tych odpowiedzi, pozbieranych w naszych dziełach, zależy potrosze twoje życie moralne, twoja dusza; twoje zaś życie moralne jest życiem moralnem kraju, twoja dusza jego duszą. Za lat dwadzieścia ty i twoi rówieśnicy będziecie mieli w ręku losy tej starej ojczyzny, naszej wspólnej matki. Tą ojczyzną będziecie wy. — Coście zaczerpnęli z naszych dzieł? — Myśląc o tem, powinien każdy pisarz uczciwy, choćby był najmniej znaczącym, najpodrzędniejszym, zadrżeć z odpowiedzialności." „Nie bądź młodzieńcze ani pozytywistą brutalnym, nadużywającym świata zmysłowego, ani pogardliwym i przedwcześnie zwiędłym sofistą, nadużywającym świata umysłowego i uczuciowego. Niech pycha życia i pycha inteligencyi nie zrobią z ciebie cynika i kuglarza idei. W tych czasach zamętu duchowego uchwyć się, jak deski ocalenia, słów Chrystusowych: „*Po owocach ich poznacie je!*" Jest jedyna rzeczywistość, o której nie możesz wątpić, bo ją posiadasz i czujesz w każdym momencie — jest nią dusza twoja. Pomiędzy ideami, które cię napastują, znajdziesz takie, co nie uczą miłości i nie hartują woli. Bądź pewny, że te idee, chociażby ci się wydawały najsubtelniejszemi, choćby je głosili ludzie noszący najsłynniejsze nazwiska i władający magiczną potęgą talentu — nie zgadzają się z prawdą. Uprawiaj w sobie te dwie wielkie cnoty, te dwie wielkie energie, poza któremi znajdziesz tylko ostateczną sromotę i agonię — uprawiaj miłość dobra i siłę woli.

Nauka chwili obecnej, nauka skromna, szczera, przyznaje, że poza granicami jej analizy rozciągają się dziedziny niepoznawalnej tajemnicy. Tym, którzy ci powiedzą, iż prócz faktów nie istnieje nic, miej odwagę odpowiedzieć: Nic o tem nie wiecie! — A ponieważ rozumiesz, ponieważ czujesz w sobie duszę, staraj się o to, aby ta dusza nie zamarła w tobie!"

WIADOMOŚCI POTOCZNE

EUROPA.

TURYN. — Misyonarze, którzy udali się do Meliapor w Indyi, odbili od portu w Genui 17. grudnia z. r. Nasz czcigodny Przełożony w chwili pożegnania się z owymi synami swoimi poprosił Ojca św. o błogosławieństwo dla nich, i Jego Świątobliwość raczył mu na to odpowiedzieć następującym telegramem :

Rzym, 16-12-1905.
Przew. X. Michał Rua — *Orat. Salezyańskie w Turynie.*

Ojciec św. zasyła szczególne błogosławieństwo księdzu Jerzemu Tomatis'owi i towarzyszom, którzy razem z nim mają wyjechać do Indyi; życzy przytem, aby Bóg nie tylko błogosławił im w długiej podróży, lecz uczynił również owocnemi ich prace, by ta nowa misya uczyniła synów X. Bosko jeszcze więcej zasłużonymi dla Kościoła.

Kard. Merry del Val.

Drugi zaś oddział misyonarzy, przeznaczonych do Macao w Chinach, opuścił tenże sam port 18. stycznia z. m. Jeśli podróż będzie pomyślną, staną oni na miejscu swego przeznaczenia w połowie marca. Zapraszamy łaskawych Czytelników do modlenia się za nimi wspólnie z nami do Boga, aby uchronił ich od wszelkiego nieszczęścia i złego wypadku.

— Dnia 13. grudnia z. r. J. E. Najprzew. X. Alojzy Spandre, sufragan J. Em. X. Kardynała-Arcybiskupa turyńskiego, dopełnił w kościele Najśw. Panny Maryi Wspomożycielki konsekracyi nowego ołtarza marmurowego, umieszczonego w chórze za wielkim ołtarzem. Nowy ten ołtarz został ofiarowany najprzew. księdzu Rua z okazyi jego imienin przez byłych i teraźniejszych wychowanków Oratoryum św. Franciszka. Pamiętając o tem, jak bardzo X. Bosko zalecał swym wychowankom nabożeństwo do św. Alojzego, na ogólne życzenie poświęcono nowy ołtarz czci tego anielskiego patrona młodzieży.

RZYM. — Przyjęcie małych Kalabryjczyków przez Ojca św. — Z listu X. S. Gusmano, upoważnionego przez X. Rua do przywiezienia ze Sycylii do Rzymu a następnie do Turynu nieszczęśliwych ofiar po znanem strasznem trzęsieniu ziemi w Kalabryi, wyjmujemy następujące ciekawe szczegóły. Wspomniany list pisany był do X. M. Rua.

« Piszę drogiemu Ojcu pod wpływem nader błogiego wrażenia. Błogosławiona ta moja podróż do Kalabryi, i błogosławione również troski i trudy jakie mi spowodowała. Dziś rano zostałem przyjęty na szczególnem posłuchaniu przez Ojca św... Nie spodziewałem się doprawdy tak wielkiego zaszczytu. Jeśli nie skakałem po schodach, to jedynie dlatego, aby nie być wziętym za waryata, wyznać atoli muszę, że tak wielkiej radości jak dzisiaj, jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem. Co za święty Papież! Jak serdecznie mnie przyjął! Już wczoraj byłem u Niego razem ze sierotami i stałem przy Jego boku blizko pół godziny, podczas gdy On przechadzał się pomiędzy nimi i obdarzał każdego medalikiem, zadawając pytania to temu, to owemu, i nie okazując bynajmniej zdziwienia z ich wielkiego nieokrzesania. Biedna moja przemowa, jaką przedtem miałem do nich na temat dobrego wychowania! jak mało skuteczną okazała się w praktyce! Nie pamiętali nic innego, jak tylko iż mieli krzyczeć : „*Viva l'u Papa!* — Niech żyje Papież!" ale czynili to z takiem uniesieniem a zarazem żywem uczuciem, że wystarczało to najzupełniej do wybaczenia im wszystkich niegrzeczności, jakie za ten czas popełnili.

Widziałem zatem Ojca św., a prócz tego byłem obecny na Mszy św. przez Niego odprawionej i przyjąłem z Jego rąk Komunię św. Gdy atoli przed godziną miałem sposobność mówić z nim sam na sam z całem zaufaniem, gdy usłyszałem z Jego ust słowa wielkiego współczucia i życzliwości odnośnie do Kalabryi, o nieszczęściach moralnych jakie ją przygniatają i środkach, jakich On przeciwko temu stanowi rzeczy zamyśla użyć, wówczas łzy stanęły mi oczach ; i nietylko uszanowanie, ale wyraz najżywszego uczucia obudził się w onej chwili w mem sercu dla Piusa X. : mogę też zapewnić, iż posłuszeństwo choćby nawet najboleśniejsze, nie byłoby mnie wówczas nic kosztowało, gdyż *ubi amatur, non laboratur...* »

Misya Polska w Londynie. — Ubiegłe święta B. N. przyniosły naszej ubogiej misyi piękną gwiazdkę pod postacią dużej, nowej kaplicy, z przyległym do niej lokalem na mieszkanie dla księży i czytelnią, oraz teatrzykiem i potrzebnymi kątami do gospodarstwa. Ale — cóż bez : *ale!?* — zawisła nad tym gmachem chmura długu wynoszącego około 10.000 marek, które należy spłacić jak najprędzej. Mamy nadzieję, że szanowni Pomocnicy Salezyańscy w tem nam dopomogą. By pociągnąć tutejszą publiczność polską i zabawić dzieci polskie, uczęszczające do szkółki, w pierwszy dzień świąt urządziliśmy choinkę, trochę śpiewów i deklamacyi, wraz z rozdaniem przy końcu małych prezencików i słodyczy, czem dziatwa, to się samo przez się rozumie, była ogromnie ucieszoną.

Przeniesioną zostanie misya na nowe miejsce za miesiąc, nie prędzej, bo potrzeba dużo wyreperować i odnowić ; tymczasem łaskawe ofiary prosimy, po dawnemu, adresować :

Rev. Gregory Domański
2, Patriot Sq. — Cambridge Rd.
England London, *N. E.*

AMERYKA.

AMBATO (Ekwator). — **Otwarcie nowej szkoły.** — *Piszą nam:* „W tutejszem mieście zaczynają wytykać tor pod nową kolej, mającą od wschodu połączyć kraj z rzeką *Rio de los Amazones*, a przez to samo z Oceanem Atlantyckim, wskutek czego Ambato ma widoki stania się miastem nader ważnem pod względem handlowym. Będzie to jeden czynnik więcej do gęstszego zaludnienia kaplicy świątecznej, która rozwija się pomyślnie pomimo szczupłości lokalu i zupełnego braku przyrządów do zabaw. Dla tych chłopców dostateczną zabawą jest *katechizm* i *kazania*, których słuchają zawsze z prawdziwą rozkoszą. Mimo to przyobiecano nam już grunt pod patronaż nieco obszerniejszy, gdzie również spodziewamy się wznieść kościółek ku czci Maryi Wspomożycielki.

Tymczasowo (dla uczynienia zadość życzeniu X. proboszcza, który założył tę kaplicę świąteczną, i dla zadowolenia kilku naszych szczodrych Pomocników) otworzyliśmy regularną szkołę dzienną w lokalach tejże kaplicy świątecznej."

BUENOS-AIRES (Argentyna). — **Dnia 12 października, w rocznicę odkrycia Ameryki,** która jest datą uroczystą dla wszystkich mieszkańców nowego świata, kollegia salezyańskie z Buenos Aires odbyły wspólną pielgrzymkę do słynnej świątyni w Luján. O godzinie 6, 15 rano zaczęli się schodzić na stacyę *Once* wychowankowie poszczególnych zakładów, t. j. kollegium Piusa IX, kollegium św. Franciszka Salezego, kollegium *Huerfanitos* (sierot) X. Bosko, kollegium X. Bosko przy kaplicy dla Włochów, kollegium św. Jana Ewangelisty na Boca i kollegium z Bernal: wszystkich razem było 1545 chłopców. Z przejętem radością sercem udawali się oni złożyć hołd miłości synowskiej swej Niebieskiej Królowej i prosić Ją o błogosławieństwo. Wypada przytem nadmienić, iż młodzież kollegiów Piusa IX, *Huerfanitos* X. Bosko i z Bernal miała swoje własne kapele.

Zaledwie pociąg (który, nawiasem mówiąc, składał się z siedmnastu wagonów) ruszył z miejsca, zanucono nabożną pieśń, poczem odmówiono różaniec. O kwadrans na dziewiątą przybywszy na stacyę Basilica, ustawili się chłopcy w czwórki i w wzorowym porządku z muzyką na czele pomaszerowali do świątyni, gdzie z wielkiem skupieniem wysłuchali Mszy św., a więcej niż tysiąc z nich przystąpiło do Stołu Pańskiego. Po skończeniu praktyk religijnych podano im sute i smaczne śniadanie. Następnie, podzieleni na liczne oddziały, zwiedzili szczegółowo wspaniałą bazylikę i jej pyszne okolice.

O godz. 3 1/2 przybyli ponownie w długim pochodzie na dworzec, by wrócić do stolicy. Stanęli szczęśliwie w Buenos Aires o trzy kwadranse na szóstą, i tu podzieliwszy się na oddziały, wrócili natychmiast do odnośnych kollegiów, wspominając z przyjemnością o słodkich wrażeniach, jakich na tej niezapomnianej przechadzce doznali.

CORDOBA (Rzplita argentyńska). — **Rozwój kaplicy świątecznej i podwaliny kollegium Piusa X.** — Kaplica świąteczna jest na razie jedynem dziełem, jakiemu



Ojciec św. wśród małych Kalabryjczyków.

się oddaje czterech Salezyanów przebywających w Cordobie. Liczba chłopców do niej uczęszczających dochodzi zwykle od 400 do 500, a w niektóre uroczystości jest nawet i większa. Na ogół są to chłopcy poczciwi, ulegli i posłuszni, uczący się pilnie katechizmu i przychodzący chętnie na kazania, oraz na wszystkie inne praktyki pobożne, jakie się tamże odbywają. Zawiązało się już również towarzystwo św. Alojzego, którego członkowie są wielce pomocni w katechizowaniu i dozorowaniu

swych towarzyszów. Odbywa się także regularnie ćwiczenie t. zw. *dobrej śmierci* i w każde święto kilkunastu przystępuje do Komunii św. Z okazyi wizyty przew. X. inspektora Vespignani'ego odbył się mały popis z katechizmu, który podobał się niezmiernie wszystkim obecnym.

Kaplica ta nie jest świąteczną w właściwem słowa tego znaczeniu, gdyż bywa otwartą także we czwartek i codziennie po południu od godz. 4 do 5 1/2. Chłopcy tak się do niej przywiązali, iż marzeniem całego tygodnia jest dla nich niedziela; okazują to zaś, ilekroć spotykają na ulicy którego ze swych katechetów.

W pierwszych dniach lipca otworzono przy tejże kaplicy szkołę dzienną. Obecnie uczęszcza do niej sześćdziesięciu pięciu uczniów, atoli jest więcej niż prawdopodobnem, że w roku bieżącym liczba ich wzrośnie do kilkuset, wszyscy bowiem oratoryanie (t. j. przychodzący do kaplicy świątecznej) proszą już teraz o przyjęcie dla siebie. W tym celu uznano za stosowne przyłożyć rękę do budowy kilku obszernych sal, pod które kamień węgielny położono 26. listopada z. r. Powstały w ten sposób zakład otrzyma nazwę *Kollegium Piusa X.*

MEKSYK — Popis z katechizmu w kolonii św. Julii. — W katolickim dzienniku *Pais* czytamy: Zaproszeni do zwiedzenia domu salezyańskiego w kolonii św. Julii, mieliśmy ponowną sposobność stwierdzenia wysoce praktycznych wyników nauki, jakiej się w owem środowisku wiedzy udziela. Wiedza, literatura, sztuki i rzemiosła, oparte na sumiennem wychowaniu religijnem i moralnem, są tym wielce chwalebnym środkiem a zarazem celem, który zachęca synów X. Bosko do kształcenia ducha młodzieży, na której spoczywa nadzieja każdego szanującego się społeczeństwa... Mamy tu na myśli popis z katechizmu, dany przez wychowanków rzemieślników wspomnianego zakładu. Na obszernym bogato przystrojonym krużganku umieszczono osobne wzniesienie dla mających stanąć do popisu. Kosztowna opona w kształcie małego namiotu zwieszała się nad statuą Najsł. Serca, po obu zaś jej bokach widniały portrety panującego Papieża Piusa X i X. Bosko.

Kilka minut po godz. 10tej przybył Najdostojniejszy Delegat Apostolski Mgr. Józef Ridolfi, powitany z uniesieniem przez wszystkich obecnych. Skoro Jego Ekscellencya zasiadł na miejscu honorowem, rozpoczął się popis wstępną przemową, odczytaną przez jednego z młodych rękodzielników. Do popisu stanęło przeszło siedmdziesięciu młodzieńców; z wielką łatwością a zarazem pewnością siebie odpowiadali oni na przeróżne pytania z katechizmu, które losowane były przez jednego z ich młodszych kolegów. Wszyscy dotrzymali dzielnie pola do samego końca, i tylko czterech (których więcej zmieszało otoczenie, niż nieznajomość przedmiotu) wystąpiło przed czasem ze szranków.

Po zakończeniu pierwszej części popisu nastąpiła krótka przerwa, w czasie której kapela zakładu wykonała wspaniały utwór muzyczny. Niebawem zaczęła się część druga, jeszcze bardziej zajmująca niż pierwsza, gdyż walkę o pierwszeństwo prowadzili między sobą sami popisowi, zadając sobie na wyrywki pytania z całego katechizmu. Długo się rozprawiali, lecz w końcu siedmiu najdzielniejszych zostało ogłoszonych zwycięzcami, tyle bowiem było nagród, które zamierzano rozdać. Gromkiemi oklaskami obdarzono wszystkich, którzy stanęli do popisu, a głównie owych siedmiu zwycięzców. Przebieg popisu zadowolił wielce wszystkich i przekonał ich jeszcze bardziej, że jedynie z pomocą nauki chrześcijańskiej można wzmocnić prawdziwą wiedzę i utworzyć tym sposobem trwałą podstawę praktycznego sposobu nauczania młodzieży.

SANTIAGO (Chile). — **Odwiedziny prezydenta rzeczypospolitej.** — Wieczorem 26. września z. r. J. E. p. prezydent Dr. German Riesco w towarzystwie pp. Fernandeza Blanco i Valces Cueva zaszczycił swą wizytą salezyańskie szkoły zawodowe *Gratitud Nacional* w Santiago. Został wprowadzony do zakładu przez X. dyrektora i grono nauczycielskie przy dźwiękach hymnu narodowego. Jeden z wychowanków powitał p. prezydenta w imieniu swych towarzyszów, poczem dostojny gość zaczął kolejno zwiedzać poszczególne warsztaty, zapytując przytem tego i owego z uczni o rzemiosło, oraz o sposób życia w kollegium. Ucieszony widokiem tylu młodzieńców zdrowych, zaprawionych do zaszczytnego zawodu, Jego Ekscellencya wyraził gorące życzenie, by zakład rozwijał się coraz pomyślniej; na odjezdnem zaś zapewnił X. dyrektora, że każdej chwili może liczyć na jego poparcie.

WIEDMA (Patagonia). — **Doroczna uroczystość M. B. od Wykupienia Niewolników** była prawdziwym tryumfem wielkiej Królowej nieba. Tak w kaplicy Maryi Wspomożycielki, jak i w kościółku św. Franciszka Salezego nabożeństwo odbyło się z wielką okazałością i spory zastęp wiernych przystąpił do śś. Sakramentów. Na sumie były obecne wszystkie władze cywilne i wojskowe. Również w więzieniu okręgowem urządzono odpowiednie nabożeństwo. W procesyi wzięły udział różne stowarzyszenia religijne, które tutaj są nader kwitnące, towarzystwo św. Wincentego a Paulo, kółko katolickich pracowników, grono pań z inteligencyi i liczny zastęp poczciwego ludu. Po skończeniu funkcyi kościelnych miała miejsce inauguracya placu *General Winter*, który w ostatnim czasie upiększono rozmaitemi roślinami i drzewkami. Przy dopełnianiu tego aktu przygrywała kapela miejscowego naszego zakładu.

Zwracamy uwagę, że wszelkie wolne datki jak niemniej ofiary na Msze św., nowenny i tym podobne cele należy przesyłać wprost do Najprzew. X. Rua, lub do X. Dyrektora Zakładu Ks. Bosko w Oświęcimiu. Do Dyrekcyi „Wiadomości Salezyańskich“ zaś prosimy nadsyłać tylko takie ofiary, które są przeznaczone wyłącznie dla czasopisma — jako takiego — na pokrycie wydatków za papier, druk i wysyłkę.



Wyzdrowienie chłopca z długiej i ciężkiej choroby.

W roku 1902. popadł mój syn w ciężką niemoc. Choroba jego trwała całe trzy lata. W pierwszym roku szło jeszcze jako tako, ale później było chłopcu coraz gorzej. Miejscowi lekarze odwiedzili go kilkakrotnie, ich przepisy jednak nic mu nie pomogły. Wobec tego oni sami postarali się o umieszczenie chorego w szpitalu prowincyonalnym, lecz i tu uznano go za nieuleczalnego. Zabraliśmy więc chłopca z powrotem do domu. Okulawiał on za ten czas zupełnie, i wszelkie choćby najmniejsze poruszenie sprawiało mu okropne boleści. Los jego był doprawdy opłakania godny.

Zamierzałem już udać się z chorym do jakiego miejsca cudownego, uważając, że była to dlań jedyna droga wyjścia z tego okropnego położenia, gdy wtem dowiedziałem się od pewnej Pomocnicy salezyańskiej o wielu łaskach, udzielanych bezustannie przez Maryę Wspomożycielkę wszystkim tym, którzy Jej z wiarą i ufnością wzywają. Kazałem przeto za pośrednictwem tejże Pomocnicy odprawić w intencyi chorego jedną Mszę św. przed cudownym obrazem Matki Boskiej Wspomożenia w Turynie, a sam zacząłem wraz z rodziną i chorym synem odmawiać w tym samym celu nowennę. Prośby nasze zostały przez potężne wstawiennictwo Maryi łaskawie wysłuchane, gdyż niebawem chłopiec zaczął zwolna odzyskiwać władzę w nogach, a dzisiaj może już chodzić całkiem swobodnie i spełniać swe zwykłe zajęcia. Przejęty najgłębszą wdzięcznością ku Matce Boskiej Wspomożycielce za doznaną łaskę, składam Jej na tem miejscu należyte dziękczynienie i polecam się łącznie z rodziną Jej dalszej opiece.

Kartuzy (Prusy Zachodnie), 28go listopada 1905.

PIOTR NEGOWSKI.

***

Podpisany dziękuje publicznie Najświętszej Maryi Pannie Nieustającej Pomocy za dwie łaski od Niej odebrane.

Kraków, 29go listopada 1905 r.

Dr. JULIUSZ br. CLOSSMANN.

***

W maju t. r. złożona byłam wielką niemocą, tak że pomoc lekarska stała się wprost bezskuteczną. Udałam się przeto do Najsł. Serca Jezusowego i do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych z prośbą o zmiłowanie. Posłałam w tym celu ofiarę na Mszę św. i poprosiłam zarazem o odprawienie nowenny. I nie zawiodłam się, gdyż podczas odmawiania drugiej nowenny stan mego zdrowia odmienił się tak dalece, iż zaczęłam zwolna przychodzić do sił, obecnie zaś mogę już chodzić. Cześć i chwała niech za to będzie Boskiemu Sercu a podziękowanie Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych.

Gniezno (Wielkie Księstwo Poznańskie), 14. 11. 1905.

PRAKSEDA MARKIET.

Marya Wspomożycielka jest najlepszą naszą Adwokatką.

Z całego serca dziękuję Najśw. Wspomożycielce Wiernych za otrzymaną łaskę. Byłem w wielkim kłopocie z powodu niegodziwego oskarżenia mnie przed sądem. Nie widząc innego wyjścia z tego przykrego położenia, uciekłem się do Matki Boskiej, czczonej pod chwalebnem wezwaniem Wspomożenia Wiernych, z prośbą o pomoc, i zostałem wysłuchany. Istotnie po ukończeniu czwartego procesu, który miał ostatecznie rozstrzygnąć o całej sprawie, zostałem uznany za niewinnego. Tak więc Marya Wspomożycielka dowiodła ponownie, że jest *najlepszą naszą Adwokatką.*

Dla okazania choć w części tej dobrej Matce mej wielkiej wdzięczności, posyłam datek na odprawienie Mszy św. dziękczynnej i na cele salezyańskie.

Wierzbie (Górny Śląsk), 1. 12. 1905.

Szymon Marszałek.

*
* *

Dotrzymując danego słowa, składam Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Przeczystej Dziewicy, Maryi Wspomożycielce, publiczne dziękczynienie za doznanie wielu łask, a szczególnie za otrzymane napowrót zdrowie po ciężkiej chorobie. Proszę przytem o inne jeszcze łaski, jak niemniej o wysłuchanie dalszych moich próśb.

Więsowno (Prusy Zachodnie), 19-12-1905.

Leon Bociek.

Dobroć Maryi Wspomożycielki.

Z szczerej wdzięczności ogłaszam z żoną Rozalią, że tylko łaska naszej Lekarki niebiańskiej M. B. Wspomożyciel i wyratowała mię z choroby, którą złożony byłem już od roku, a pomoc lekarska okazała się bezsilną. Radziłem się słynnych i mądrych lekarzy, lecz wszyscy twierdzili, że to choroba piersiowa i przez to samo nie do wyleczenia. Utraciwszy w ten sposób wszelką nadzieję wyzdrowienia, zwróciłem się z ufnością do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych; poprosiłem równocześnie o odprawienie nowenny, przyrzekając, że jeżeli mi Bóg udzieli zdrowia za przyczyną swej Matki, ogłoszę to w *Wiadomościach*, aby wszyscy, którzy takowe czytają, ufność swą jedynie w Niej pokładali. Prośba moja została wkrótce w większej części wysłuchana, gdyż odzyskałem zdrowie o tyle, że mogłem zacząć pełnić służbę na nowo.

Na podziękowanie najmiłościwszej Wspomożycielce za wyświadczone mi dobrodziejstwo i dla uczynienia zadość przyrzeczeniu, zasyłam dziesięć koron w nadziei, że Matka Najświętsza raczy mnie zupełnie uzdrowić.

Podgórze (Galicya), dnia 13go grudnia 1905 r.

Michał i Rozalia Nowakowie.

*
* *

Wywiązując się z uczynionego przyrzeczenia, składamy Boskiemu Sercu Jezusowemu i Najśw. Maryi Pannie Wspomożeniu Wiernych publiczne podziękowanie za doznaną łaskę. Córka nasza Walerya jakkolwiek podupadła była na zdrowiu, złożyła jednak pomyślnie maturę. Zawdzięczając to cudownej pomocy Boskiej i M. B. Wspomożycielki, prosimy zamieścić niniejszą łaskę w *Wiadomościach Salezyańskich*.

Przekazem posyłamy 10 koron na odprawienie Mszy św. przed obrazem Maryi Wspomożycielki.

Żmigród (Galicya), 25-11-1905.

Antoni i Marya Nowakowie.

*
* *

W zeszłym miesiącu zachorował ciężko nasz synek i zdrowie jego z dnia na dzień pogarszało się coraz to bardziej. Ostatecznie sam lekarz stracił nadzieję wyleczenia pacyenta, bo była to angina. Udaliśmy się przeto do Matki Najśw. Wspomożycielki, prosząc o zdrowie dla dziecka. Prośba nasza została niebawem wysłuchana.

Wdzięcznem sercem przesyłamy datek na Mszę św. dziękczynną i prosimy ogłosić łaskę otrzymaną w *Wiadomościach Salezyańskich*.

Turka (Galicya), 2go grudnia 1905.

Jan Budzianowski.

*
* *

Z przyjemnością spieszę złożyć Najwyższemu moje szczere podziękowanie za zdrowie, jakie moja żona za przyczyną Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki niedawno otrzymała. Słowami nie jestem w stanie mojej wdzięczności wyrazić, lecz serca wszystkich członków naszej rodziny czują doskonale, jak wielkie dobrodziejstwo zostało nam wyświadczone.

Cześć i chwała Panu Jezusowi i Matce Jego Przenajświętszej!

Michałkowice (Górny Śląsk), 6go grudnia 1905 r.

Franciszek Rysok.

*
* *

Tej wiosny będąc w ciężkiem strapieniu i prawie blizka rozpaczy, wezwałam pomocy Matki Najśw. Wspomożenia Wiernych, i wnet doznałam ulgi.

Niedawno zaś po raz wtóry znalazłam się w podobnem położeniu, i zapomocą Matki Boskiej zostałam pocieszona.

Składam więc publicznie jak najgorętsze dzięki Tej, która nigdy nie zawodzi, że mię niegodną sługę wysłuchać raczyła. Za załączoną ofiarę proszę odprawić dziękczynną Mszę św. przed obrazem M. B. Wspomożenia.

Rawa ruska (Galicya), 5-12-1905.

J. U.

*
* *

Czyniąc zadość danej obietnicy, ogłaszam w *Wiadomościach Salezyańskich* moje dziękczynienie Najśw Pannie Wspomożycielce za Jej ła-

skawą opiekę i cudowny ratunek w nader trudnem położeniu, w jakiem się znajdowałem z powodu prześladowania ze strony ludzi złych i przewrotnych.

Polecam się i nadal opiece Najśw. Panny Maryi i Najsł. Serca Pana Jezusa, których imiona niechaj będą czczone i wielbione na wieki wieków!

Gdów (Galicya), dnia 16go grudnia 1905 r.

JANINA WIKTOR.

***

W październiku zachorował oddany mi w opiekę chłopczyk na tyfus brzuszny. Słabość jego była śmiertelna i nikt nie przypuszczał, aby dziecko mogło przebyć tę chorobę. Lecz Matka Najświętsza w miłosierdziu swojem wysłuchała próśb naszych i przywróciła mu zdrowie.

Z obowiązku wdzięczności składam na tej drodze podziękowanie Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce i proszę o ogłoszenie w *Wiadomościach*.

Przemyśl (Galicya), 17-12-1905.

SYDONIA TAKLIŃSKA.

Szereg łask Maryi Wspomożycielki.

Niżej podpisani małżonkowie upraszamy o łaskawe umieszczenie we *Wiadomościach Salezyańskich* następujących łask, których żeśmy doznali przez wzywanie Najśw. Panny Maryi Wspomożenia Wiernych:

I.) Lubownicy cudzej własności okradli nas, lecz zostali później wyśledzeni.

II.) Podczas gwałtownej burzy piorun dwa razy uderzył w nasze zabudowanie, lecz nie uszkodził ani domu, ani nie zabił nikogo z ludzi, tylko pół kopy żyta zapalił.

III.) W sprawie wojskowej miał być nasz syn sądzony jako dezerter, został jednak uwolniony.

IV.) W pewnym procesie zakończyła się dla nas sprawa pomyślnie, pomimo że mieliśmy nader wybiegłych przeciwników.

V.) W czasie słabości niemal śmiertelnej został chory w dwudziestu czterech godzinach najzupełniej uzdrowiony.

VI.) Nawet na jamarkach załatwiliśmy nasze interesa nadspodziewanie dobrze.

Każemy powyższe łaski zamieścić w cennym *miesięczniku salezyańskim* naprzód dlatego, by za odebrane dobrodziejstwa oddać dobrotliwej naszej Matuchnie Maryi Wspomożycielce należną cześć i dziękczynienie, a powtóre aby wszystkich czytelników niniejszego pisma zachęcić do wzywania Jej w przeróżnych potrzebach, w jakich nam biednym wygnańcom Ewy na tym padole płaczu często gęsto przytrafia się znaleźć.

Błażowa (Galicya).

FRANCISZEK i ANNA SZCZYGŁOWIE.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

M. Korczak, Poznań; Agnieszka Ramsa, Łącko (*Galicya*); Ludwik Wnękowski, Dęba (*Galicya*); Teodor Blaszczyk, Rudzka Kuźnia (*Górny Śląsk*); Marya Stamfertowa, Mikołajów (*Galicya*); Jan Częstuch, Uhorniki (*Galicya*); Felicya Żółtaniecka, Żółkiew (*Galicya*); M. Paszke, Poniec (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Julia Kwasińska, Leszczyn (*Galicya*); Aniela Schrammówna, Grabicz (*Galicya*); Jan Moczygemba, Bogucice (*Górny Śląsk*); Walenty Baran, Staroniwa (*Galicya*); Piotr i Anna Ornatowscy, Kopyczyńce (*Galicya*); M. Górska, Stęszewo (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Zofia Zacharyasiewicz, Sanok (*Galicya*); Joanna Gałązka, Pawłowice (*Górny Śląsk*); Katarzyna Wilczyńska, Jaśliska (*Galicya*); Jan Mazurek, Nowawieś (*Górny Śląsk*); Walenty Tadla, Dylągówka (*Galicya*); Tomasz Balik, Osielec (*Galicya*); Ignacy Szczotka, Pyskowice (*Górny Śląsk*); Jakób Sitko, Dwory (*Galicya*); T. Fijałkowski, Stanisławów (*Galicya*); Dr. Antoni Grabski, Rzętnia (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Melania Chmielnik, Turka (*Galicya*); Piotr i Franciszka Stefanowie, Radzionków (*Górny Śląsk*); N. Walich, Powidz (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Helena Żółtaniecka z Żółkwi (*Galicya*), za pomoc w nauce i pomyślny wynik egzaminu: A. Penger z Węgait (*Warmia*), za otrzymanie zdrowia; N. N. z Galicyi, za pomyślny wynik egzaminu; R. S. S. z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, za szczęśliwe przebycie słabości i pozostanie przy życiu.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*



ROZMAITOŚCI

Któż winien?

Gdy we Francyi w pierwszej połowie zeszłego stulecia, za rządów króla Ludwika Filipa, obradowano w parlamencie nad wnioskiem o szkoły bezwyznaniowe, postawionym przez partyę liberalną, powstał jeden z posłów katolickich i tak mówić począł:

,,Nim sprawę tak ważną powierzymy decyzyi losów, pozwólcie, łas awi Panowie, na jedno jeszcze słówko. Na zamku w Ch . . . . . bogaty szlachcic obywatel, dziedzic obszernej fortuny i mienia pradziadów, siedział szczęśliwy z małżonką i trojgiem dzieci. W Voltairze czcił swego nauczyciela i mistrza; to też teraz, gdy mu się uśmiechały te trzy anielskie istoty, chciał je widzieć wolne od ciasnych pęt przykrych morałów chrześcijańskich. Na nic się przydały prośby matki, bardzo cnotliwej niewiasty, by dzieci otrzymały wychowanie moralne: uparty mąż ani słuchać o tem nie chciał. Żaden kapłan katolicki nie miał przystępu do jego domu, zato bony obojętne dla wszelkiej wiary wykarmiły dzieci, aż je oddano guwernerom, zdecydowanym ateuszom. Dzieci owe otrzymały wychowanie w pełnem znaczeniu bezwyznaniowe.

Lecz oto co się stało: najstarszy syn, przehulawszy w czasie nauk całą ojcowiznę, sprzągł się z szajką opryszków, rozbijał po publicznych drogach, i zginął sromotnie na szubienicy; córka, skalawszy swe imię skandalicznymi obyczajami, zmarła w kwiecie wieku, napiętnowana hańbą publiczną; ostatni zaś syn, którego rozpusta zmysłowa zostawiła wprawdzie przy życiu, ale wyniszczyła zupełnie, przyszedłszy raz pijany do domu, zelżył haniebnie sędziwego ojca i wypchnął go z własnego domu na bruk, grożąc uśmierceniem, gdyby się poważył jeszcze raz próg przestąpić. — Przed paru miesiącami odwiedziłem nieszczęśliwego starca w zakładzie dla obłąkanych w Charenton, gdzie w chwilach spokojniejszych, wśród rozpaczliwych jęków, na siebie zwala całą odpowiedzialność za zgubę swych dzieci."



Na ulicy, oparty o latarnię, stoi jakiś podrostek. Przypatrzmy mu się bliżej: ma lat szesnaście, dziury na łokciach, czoło idyoty, spróchniałe zęby i wystrzępione majtki. Ma także surdut nieco dziwnego koloru, ale niema zato koszuli.

— Gdzie twój ojciec?

— We więzieniu.

— A matka?

— Matka robi pudełka.

— A siostry?

— Ma ich trzy, robią także pudełka: ma także dwóch braci po ośm lat, którzy robią pudełka, i jednego lat trzech, który pomaga je kleić.

W Anglii całe setki i tysiące ludzi żyją z tej pracy, a raczej przymierają z niej głodem. — Tak wygląda nasz bohater: matka jego chora, bo wszyscy, którzy dłużej robią pudełka, chorują: ojciec jego był zamiataczem ulic, ale raz niespodzianie go zaaresztowano. Chłopak nie umie czytać ani pisać: klnie zato nadzwyczaj wprawnie. Widać także, że trochę i pije, bo jak imno, to się wódką rozgrzewa.

— Czy umie też pacierz?

— Co? — pyta zdziwiony, otworzywszy usta: on tego nie umie. On umie robić pudełka, a pacierz to nie jego rzemiosło.

— A jeść ma ochotę?

Ma, ale nie ma pieniędzy, a kraść się boi.

Ale choćbyś się nie bał, to nie zrobiłbyś tego, bo to jest źle, czy nieprawda?

— Jużci że źle, odpowiada, bo jak policya złapie, to trzeba iść do więzienia.

To dla niego przyczyna: inaczejby kradł.

— A sumienie chłopcze?

— Co to jest? — czy to się je, czy to się pije? — Czego od niego chcą? On przecie tu stoi spokojnie i nikomu nie zawadza.

Oto mały obrazek: chłopiec nie umie czytać ani pisać, nie umie pacierza, nie wie co jest Bóg; myśli, że sumienie się jada albo pije, nie słyszał o cnocie, nie ma co jeść ni pić, ani gdzie mieszkać: *umie zaś robić pudełka.* Tymczasem nędza mówi do niego: *zabij;* głód: *ukradnij;* chłód: *upij się.* Oto jedyni jego nauczyciele. Czy ich posłucha? — Tak: *jak tylko przestanie bać się policyi.*

***

W Paryżu powiesił się niedawno temu chłopiec G., mający lat dziesięć. Protokół urzędowy mówi o tem co następuje: ,,Ponieważ dziecko nie spełniało swoich obowiązków, matka je wyłajała. Wyszedłszy z domu o godzinie ósmej rano, zostawiła je ze starszym bratem, który wkrótce poszedł do szkoły. Zmarłe dziecko oświadczyło, że do szkoły nie pójdzie. Wróciwszy do domu o godz. pół do dwunastej, brat zastał je wiszące na sznurku, zaczepionym na haku w pułapie.'' — Fakt opowiedziany w ten sposób, byłby niewytłumaczony: któreż bowiem dziecko nie otrzymuje nagany, i ileż jest takich, któreby nigdy kary nie potrzebowały? Żeby stąd wynikło aż samobójstwo, do tego trzeba innych jeszcze, daleko silniejszych czynników. — I w tym wypadku jest okoliczność, której nie omieszkał zaznaczyć komisarz: ,,W pułapie, niedaleko od łóżka, wbity był drugi hak, przeznaczony na wieszanie lampy; na tym haku powiesił się w lutym ojciec małego G.'' — Oczywiście przykład ojca podziałał determinująco na wolę dziecka.

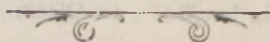


BRAZYLIA — Wychowankowie zakładu salezyańskiego w San Paulo.

***

Któż winien w przytoczonych i wszystkich podobnych wypadkach, które na nieszczęście tak często wypełniają szpalty dzienników?

Mogą być coprawda winne same dzieci swą naturą krnąbrną, odstręczającą: to atoli zdarza się rzadko. Młode serca podatne są pod uprawę, i byle umiejętna i delikatna ręka wzięła się do pracy nad niemi, wywiodłaby z nich dzieła pod każdym względem doskonałe. — Częściej wini szkoła, jeszcze częściej towarzystwa, prawie zawsze atoli ostatnia odpowiedzialność spada na tych, którzy z polecenia bożego obowiązani byli czuwać nad powierzonym sobie skarbem. Oby przynajmniej w waszych szeregach, przezacni Pomocnicy, nie znaleźli się rodzice, którymby taki zarzut uczynić można!



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misyonarza Salezyańskiego.

Rozdział XXVII.

(Ciąg dalszy).

Po zażegnaniu tej burzy ks. Lasagna udał się do San Paulo na uroczyste poświęcenie kościoła Serca Jezusowego, oddanego Salezyanom. Jak miłą niespodzianką był widok gotowego mieszkania dla misyonarzy. Staraniem Pomocników powstał obok kościoła w zadziwiająco krótkim czasie wspaniały gmach o szerokich portykach, oraz obszernych i widnych salach, w których możnaby już było pomieścić do stu dzieci, gdyby nie brakowało jeszcze posadzek. Ks. biskup nastawał, aby natychmiast stanął układ darowniczy kościoła i kollegium zgromadzeniu ks. ks. Salezyanów; ks. Lasagna jednak musiał się wstrzymać z przyjęciem tej ofiary aż do nadejścia urzędowego zezwolenia ks. Bosko i do przybycia dwóch misyonarzy, których jak najspieszniej przyzywał, aby założyli i rozbudzili nabożeństwo do S. Jezusowego w tym nowym kościele Jemu poświęconym. W owej chwili chybiły coprawda nadzieje, ale niedalekim już był dzień, w którym nie dwóch tylko, lecz wielu Salezyanów, otoczonych liczną dziatwą, miało odprawiać nabożeństwo w tej wspaniałej świątyni. Ks. Lasagna wyjechał z San Paulo przekonany najmocniej o gwałtownej potrzebie zaopatrzenia nowej fundacyi w odpowiedni personał. Zaraz przeto na pierwszym przystanku napisał, mimo wielkiego znużenia, gorący list do swego czcigodnego i ukochanego przewodnika i Ojca, błagając o pomoc, aby nowa misya jak najprędzej mogła być w życie wprowadzona.

Wspomnieć tu wypada o zabawnej przygodzie, jaka się ks. Lasagni przytrafiła w czasie tej drugiej podróży do Brazylii. Podajemy ją bez żadnych komentarzy, jak on sam ja opisał, bo sama najlepiej wyświetla bystrość i przedsiębiorczy charakter naszego misyonarza. Jeszcze za młodych lat był on w serdecznych stosunkach z zacną rodziną Celoriów. Często tam bywał i prawie za swego uchodził. Niebawem nawiązał znajomość ze sławnym astronomem obserwatoryum medyolańskiego, G. Celoria. Czując namiętny pociąg do tej nauki, wypytywał z zajęciem uczonego profesora o najciekawsze zjawiska astronomiczne. Niewiadomo czy z tych rozmów, czy z czytania przeglądu astronomicznego dowiedział się, że miała się ukazać nadzwyczajna kometa, widoczna tylko w niektórych okolicach Ameryki. Był właśnie w drodze do Rio Janeiro. Cztery dni żeglugi morskiej, gdy nie było nic lepszego do roboty, nastręczały doskonałą sposobność obserwowania tego zjawiska.

Uzbrojony w potężny teleskop, spędzał większą część nocy na wpatrywaniu się w gwiaździste niebo, co budziło wielki podziw u reszty pasażerów. Niektórzy poznawali w badaczu widzianego ongi przełożonego misyi salezyańskich; ci też ośmielali się pytać go o powód takich nadzwyczajnych studyów astronomicznych. Odpowiedział im, że uczeni z dnia na dzień oczekiwali pojawienia się komety, którą możnaby obserwować tylko w Ameryce, i że spodziewał się ją ujrzeć. Odtąd kometa była wyłącznym przedmiotem rozmów na statku i wszyscy z zajęciem śledzili badania misyonarza. Jednego rana nakoniec oznajmił, iż w nocy między godz. 2 a 3 ujrzał zapowiadaną kometę. Opisał ją jak najdokładniej, poczem odbierał ogólne powinszowania z powodu tego odkrycia; nikt zaś nie wątpił, iż ma przed sobą osobliwość astronomiczną. Najzabawniejszem było, że zaledwo statek przybił do Rio Janeiro, miejscowe dzienniki ogłosiły wieść o przybyciu sławnego astronoma, który w ciągu podróży odkrył nową kometę.

Jego imię i nazwisko, miejsce urodzenia, idealny życiorys i t. d. zapełniały łamy tychże dzienników; przebieg zaś obserwacyi na statku i ostateczny wynik był jednym hymnem pochwalnym astronoma. Ten nieoczekiwany rozgłos ściągnął dokoła ks. Lasagni tłum ciekawych, żądnych go widzieć i wypytać. Z trudnością udało mu się uniknąć natrętnych interwiewów natychmiastowem opuszczeniem miasta celem podjęcia objażdżki poblizkich zakładów salezyańskich. Nie słyszałem nic więcej zajmującego, jak opowiadanie z jego własnych ust o tej przygodzie. Kończąc swe opowiadanie, ks. Lasagna śmiał się sam serdecznie z tej awantury, w którą go zaplątał jego pociąg do astronomii, tej nauki, co więcej niż którakolwiek ukazuje zachwyconym oczom chrześcijanina nieskończoną wielkość i mądrość Stwórcy.

W czasie tej objażdżki ks. Lasagna otrzymał nader pomyślną wiadomość: współbracia, których przybycia tylokrotnie i tak usilnie się domagał, mieli przybyć do Ameryki na początku roku 1885. W istocie 1° lutego puścił się w podróż doborowy oddział pionierów ewangelicznych, zachęcony słowem Jego Eminencyi X. Kardynała Alimonda, arcybiskupa Turynu. Wodzem i Ojcem tej gromadki był Mons. Cagliero,

świeżo konsekrowany na biskupa syn ks. Bosko, zamianowany Wikaryuszem Apostolskim Patagonii. Powrót do Ameryki tego misyonarza, rzadkie przymioty jego umysłu i serca, a osobliwie wysokie dostojeństwo na jakie był wyniesiony, musiały dla praw Salezyanów na zachodniej półkuli otworzyć całkiem nową erę działalności i wawrzynów.

Nie dziw tedy, że tęsknili za nim zarówno Salezyanie, jak wszyscy ich przyjaciele i dobrodzieje. Ks. biskup Cagliero przybił do Montevideo 13° marca. Przyjęcie zgotowano mu wspaniałe. Kollegium Piusa IX, któremu przypadł zaszczyt podjąć w osobie jednego ze swych fundatorów pierwszego biskupa milicyi salezyańskiej, sadziło się na okazałość i zapał godny podziwu. Mons. Cagliero przybył, wlał balsam pociechy i otuchy w serca swej drogiej braci, rozognił nowym zapałem do pracy i pobożności młodzież szkolną, która tak świetne zapowiadała owoce dla Kościoła i naszego Zgromadzenia; następnie w towarzystwie ks. Lasagni rozpoczął wizytacyę różnych instytucyi Salezyanów, oraz Córek Maryi Wspomożycielki, rozproszonych w rzeczypospolitej urugwajskiej. Nie taił przy żadnej sposobności swego podziwu, iż w przeciągu zaledwie lat siedmiu tak wielkie zrobiono postępy. Odwiedziny te przejęły serce ks. Lasagni wielką radością, którą wylał w następującym liście do ks. Bosko: ,,Dzięki ci stokrotne, drogi Ojcze, za przysłanie nam Mons. Cagliero: jest to prawdziwy Anioł dla nas wszystkich; ja szczególniej miałem poczucie, jakoby mi kto ogromny ciężar zdjął z serca. W osobie tego zacnego biskupa zdało mi się widzieć samego ks. Bosko i nie było uczucia we mnie, któreby się nie było poruszyło. Dzięki, czcigodny Ojcze, tysiąc razy ,,Bóg zapłać'' za ten dar. W dalszym ciągu tego listu ks. Lasagna wyłuszcza nadzwyczajne powody swej radości. Liczne troski od niejakiego czasu gęstą mgłą przysłoniły tak świetne dawniej horyzonty przyszłości. Oto jak pisze:

,,Ten liczny napływ młodzieży pociągnął za sobą wydatki nadzwyczajne, które znów obciążyły nas długami.

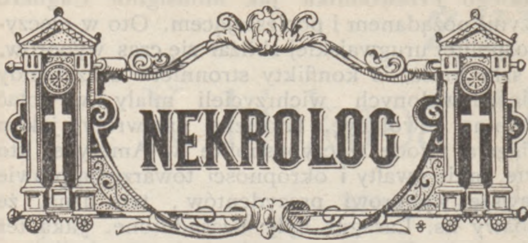
Ale cóż było robić? Bezgraniczna ufność w opiekę Matki Boskiej podawała nam coraz nowe pomysły powiększania ubikacyi, aby przyjąć możliwie najwięcej biednych sierot, błagających o chleb i niebo. Nie dość na tem. Pootwierano wprawdzie bramy zakładów, lecz nie przyniosło to ulgi innym pracom misyjnym, wskutek czego stanęliśmy naraz wobec ogromu nowej pracy, chociaż nam od dotychczasowej ręce opadały. Uznał to ks. biskup i ustąpił mi połowę przywiezionego personału.

Lecz ci ośmiu bracia zniknęli po różnych domach prowincyi jak rosa, która spadła na rolę spieczoną letnim upałem. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak pukać do Twego ojcowskiego serca, czcigodny ks. Bosko, w swojem i wszystkich tutejszych współbraci imieniu, o dalszą pomoc, konieczną aby tyle dzieł ważnych podtrzymać i w miarę potrzeby rozszerzyć.'' W tych słowach ks. Lasagna wylewał swe troski przed Ojcem. Lecz był i inny jeszcze powód, który przybycie takiego Przewodnika jak Monsignor Cagliero czynił pożądanem i pocieszającem. Oto w rzeczypospolitej urugwajskiej zbliżał się czas wyborów, i szła wieść, iż konflikty stronnictw oraz bandy niezadowolonych wichrzycieli miały wywołać zbrojną rewolucyę. Kto zna przewroty, jakim ulegają młode rzeczypospolite w Ameryce, kto wie, jakie gwałty i okropności towarzyszą prawie zawsze wyborowi prezydentów, ten uzna, że obawy ks. Lasagni były uzasadnione. Jaką też ulgą było dla niego w tak trudnych okolicznościach mieć obok siebie kogoś, co dzielił z nim odpowiedzialność i wspierał go swą radą i słowem pociechy. Ucieszyła go także wiadomość, że ks. Bosko zlecił z całem zaufaniem X. biskupowi Cagliero ostateczne rozstrzygnięcie losów projektowanej fundacyi w San Paulo. Po głębszym namyśle i wezwaniu światła z nieba, gorliwy a roztropny biskup stwierdził potrzebę natychmiastowego zajęcia się z całą energią nową fundacyą, z której należało oczekiwać wielkich owoców dla chwały Bożej i zbawienia dusz. Bo czyż mogła zawieść instytucya, która miała się rozwijać w cieniu Boskiego Serca Zbawiciela?

Na dyrektora nowego Zakładu, który miał nosić nazwę: *Lyceum Serca Jezusowego*, ks. Lasagna przedstawił towarzysza, którego znał od dzieciństwa, którego sam wykształcił, gdy był jeszcze profesorem w Lanzo, i którego szczególniej cenił: był to ks. Wawrzyniec Giordano. Dnia 15. maja wsiadł tenże z dwoma towarzyszami na okręt w Montevideo, i po pięciu dniach trudnej przeprawy stanął w Nictheroy, a potem 1° czerwca w stolicy stanu San Paulo.

Początki nowego Oratoryum Salezyańskiego, tak jak każdej instytucyi powołanej do działania wiele dobrego, były mizerne i trudne. Zapał rozbudzony w swoim czasie dwukrotnemi odwiedzinami ks Lasagni, rychło ostygł; wnet zabrakło pieniędzy na dokończenie budowy, i gdy Salezyanie przybyli, nie znaleźli ani domu, ani kaplicy. Ks. Giordano zamieszkał przy miejskim szpitalu, pracując gorliwie przez kilka miesięcy nad włoskimi kolonistami; jego dwaj współbracia znaleźli przytułek u kapelana zacnych Sióstr N. Panny z Luz. Te niekorzystne warunki bynajmniej nie krępowały im rąk; oprócz pracy w kościele Serca Jezusowego i w szpitalu, odwiedzali odleglejsze osady włoskie, ucząc dzieci katechizmu, opowiadając słowo Boże i udzielając Sakramentów śś. Wszędzie pracowali z wielką pociechą, a zwłaszcza w osadzie Św. Anny, którą ks. Lasagna za poprzedniej swej podróży był odwiedził. Pilno im jednak było oddać się głównemu dziełu, dla którego tu przybyli, i dyrektor wezwał pomocy ks. Lasagni. Przybył on do San Paulo i wkrótce jego gorąca wymowa, która poruszała wszystkie serca, zrobiła swoje. Pieniądze się posypały, a przeszkody zniknęły jak śnieg pod słońcem wiosennem; prace zatem zostały natychmiast na nowo podjęte i budynek ukończony.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Adaszkiewicz Karol, — Wielkie Strzelce, *Górny Śląsk.*

X. Bartsch Antoni, proboszcz, — Ruchocice, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Buczyński Michał, — Lwów, *Galicya.*

Chowaniec Teresa, — Huta Wilhelminy, *Górny Śląsk.*

Cichy Józef, — Ugoda, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*

Daszkiewicz Alina, — *Poznań.*

Dembiniak Wiktorya, — Frysztat, *Śląsk austryacki.*

Drapacz Szymon, — Katowice, *Górny Śląsk.*

Dzierżyńska Aniela, — Rzeszów, Galicya.

Famula Filip, — Bytom, *Górny Śląsk.*

Faucz Rozalia, — Kurytyba, *Brazylia.*

X. Gieburowski Łukasz, proboszcz, — Brody, *Wielkie Ks. Poznańskie,*

Golniewicz Alojzy, — Gołańcz, *W. Ks. Poznańskie.*

Gretka Katarzyna, — Urbanowice, *Górny Śląsk.*

Grześka Andrzej, — Kokociniec, *Górny Śląsk.*

X. Jakiel Józef, proboszcz, — Klimkówka, *Galicya.*

X. Janik Wojciech, — Tymowa, *Galicya.*

Janoś Antonina, — Wielkie Tarchały, *W. Ks. Poznańskie.*

Kaleta Jan, — Chicago, *Stany Zjednoczone.*

Kaźmierczak Maryanna, — Wałkowo, *W. Ks. Poznańskie.*

Kieliba Andrzej, — Borzęcice, *W. Ks. Poznańskie.*

Klein Józefa, — Chicago, *Stany Zjednoczone.*

Knapik Wincenty, — Wieszowa, *Górny Śląsk.*

X. Kolor Wincenty, — Szczyrzyce, *Galicya.*

X, Korczyński Jan, proboszcz, — Wojniłów, *Galicya.*

Langer Emanuel, — Niepaszyce, *Górny Śląsk.*

Lerch Franciszek, — Rozwada, *Górny Śląsk.*

Dr. Leśnicki Władysław, — Lissewo, *Prusy Zachodnie.*

Łatka Marcin, — Siedliska, *Galicya.*

Majerczyk Agnieszka, — Ziemięcice, *Górny Śląsk.*

Malec Józef, — Górne Hajduki, *Górny Śląsk.*

Marcinkowski St., — Gniezno, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*

Muzyka Marya, — Ochrymowice, *Galicya.*

Nandzik Maryanna, — Wierzbie, *Górny Śląsk.*

Pająk Maryanna, — Brzeziny, *Galicya.*

Pokorny Henryk, — Baligród, *Galicya.*

Rasiak Maryanna, — Małe Tarchały, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Rogalińscy Jan i Józefa, — Gniezno, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Rosik Franciszek, — Kobierno, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

X. Schultz Wojciech, proboszcz, — Pistyń, *Galicya.*

X. Siedlecki Alexander, proboszcz, — Strzelce Wielkie, *Galicya.*

Sikorska Rozalia, — Wąbrzeźno, *Prusy Zachodnie.*

X. Skąpski Antoni, proboszcz, — Lubasz, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Śladeczek Karol, — Pyskowice, *Górny Śląsk.*

X. Sosin Franciszek, — Wielopole, *Galicya.*

X. Stolarczyk Tomasz, — Kamionka wielka, *Galicya.*

Suchy Józef, — Bóbrka, *Galicya.*

Szczur Józef, — Ciemierzyńce, *Galicya.*

Szeliga Jan, — Orzegów, *Górny Śląsk.*

Urbanowicz Nepomucen, — Kobierno, *W. Ks. Poznańskie.*

Walo Michał, — Świchocin, *Wielkie Ks. Poznańskie..*

Walocha Franciszka, — Wirek, *Górny Śląsk.*

Wanjura Franciszek, — Opole, *Górny Śląsk.*

Warczak Otylia, — Kozłowa Góra, *Górny Śląsk.*

Wenc Piotr, — Hussów, *Galicya.*

Wierszowski Kazimierz, — Zarośle, *Prusy Zachodnie.*

Zacharek Jędrzej, — Mały Rywałdów, *Prusy Zachodnie.*



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI.